

GORZKA, CHOĆ SŁODKA

JERZY TRELA, AKTOR:

Niepewność w aktorze będzie tkwić zawsze.
Nawet jeśli niektórzy ją mocno kamuflują, pokazując,
jacy są potężni, to tli się w nich wrażliwość.

JERZY TRELA: Gdy pani pyta o ludzi ważnych, do głowy natychmiast przychodzi mi ojciec, z zawodu maszynista. I jeden moment z nim związany. Taka scena: lato, ojciec rąbie drzewo. Stoję nieopodal i kręcę na palcu krachlę – ubitą szyjkę butelki z drucikiem. W pewnym momencie krachla ześlizgnie się, polecą i uderzą ojca w policzek pod okiem. Zobaczę krew, przerażę się. A ojciec zakrwawiony odwraca się do mnie i zaczyna się śmiać.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Ojciec jako człowiek bezpieczny i niemałostkowy – nic dziwnego, że zapamiętał Pan to zdarzenie.

Ojca straciłem wcześniej – zginął w wypadku kolejowym. Jego brak to był mój kompleks, wyszedłem z domu mając 13 lat. Może dlatego swoją rodzinę uważam za najważniejszą. Jednak za mało czasu jej poświęcałem. Miałem z tego powodu ciągle wyrzuty sumienia.

Jak aktor radzi sobie z wyrzutami sumienia?

To nie aktor, lecz człowiek ma wyrzuty sumienia.

Czy jest ktoś ważny z rodziny, o którym chce Pan opowiedzieć?

Teść – Jerzy Jensz. Był w AK, to on zaatakował w Wilnie chorągiew na Górze Giedymina... A wcześniej uciekł ze Starobiel-ska, w 1940 r. Udało mu się to wyłącznie dlatego, że znał rosyjski – jego ojciec był

inżynierem, budował kolej transsyberyjską, do szóstego roku życia teść mieszkał w Rosji, nauczył się języka. Uciekał z kolegą, do Wilna wędrowali przez trzy miesiące. I wiedzieli, że muszą omijać biedne chałupy, bo rosyjscy chłopcy wydawali uciekinierów za bochen chleba.

Chętnie o tym mówił?

Nie. Nie wpadał w euforię, nie robił z siebie bohatera, uznawał to za coś zwyczajnego.

Będąc w AK, jednocześnie pracował, był zarządcą majątku na Wileńszczyźnie. Kiedyś ze skrzyni pełnej zboża wyciągał schowany tam karabin maszynowy. I w tym momencie w drzwiach stanął niemiecki żołnierz. Patrzyli sobie w oczy tak długo, aż żołnierz odszedł. Teść nie wpadł w panikę – takie miał usposobienie.

W 1945 r. został ponownie wywieziony za AK, tym razem na Syberię. Potem, ze względu na chorobę nerek, przerzucano go do obozu w Kalininie. Komendant obozu wiedział, że jest inżynierem, umie rysować, i zlecił mu zaprojektowanie kina. Kino komendantowi bardzo się spodobało i zaproponował posadę. A teść odmówił, powiedział, że musi wracać, bo chce Polskę odbudowywać. Komendant na to: „Tu będziesz miał dobrze, a tam będziesz żarł śledzie solone”.

Ale po co ja to mówię? Dziś AK jest nieważne, ważni stają się inni.

Opowie Pan?

Opowiem coś innego. W dzieciństwie spotkałem dwóch wrogów i oni byli dla mnie ważni. Pierwszy pojawił się w 1945 r. Styczeń, do Leńcz, w których mieszkamy, przyjeżdżają Niemcy na koniach i motorach, olbrzymią grupą, więcej niż kompanią. Mamy spory dom – zatrzymują się u nas. Dowódcą jest facet, który pyta, czy mogą przenocować – to jest zdumiewające, bo zazwyczaj o nic nie pytali, tylko brali, co było potrzeba. Śpią na strychu, na słomie. Front nadchodzi, słychać strzały, łomot jak burza, ale dzieje się to na tyle daleko, że mogą spokojnie jeszcze tę jedną noc przespać. Rano zbierają się, mama mnie trzyma na rękę, dowódca ma dwa automaty przewieszone przez ramię, okulary na czapce, twarz pooraną i wychodząc, wyjmując tabliczkę czekolady. Chce mi ją podarować. Wyciągnąłem po nią rękę, a matka mnie za nią chwyciła – nie pozwoliła. Pamiętam tego człowieka, który może narobił wiele zła, ale wtedy jego oczy uśmiechnęły się. Rozpakował czekoladę, urwał kawałek, włożył do ust, zjadł i z powrotem mi tę czekoladę podał. Mama już pozwoliła.

Pamięta Pan smak?

Gorzka, choć dla mnie była wtedy słodka.

Niemcy poszli, a za kilka dni przyszli Rosjanie. Rozgościli się w domu, nawet na tej samej słomie spali, co Niemcy. W naszej dużej kuchni zainstalowali aparaty nasłuchowe przypominające wielkie bębny →



GRAŻYNA MAKARA

→ i nasłuchiwali; gdzieś pod Bielskiem toczyły się ważne walki. Głównie zajmował się tym starszy żołnierz, wyglądał jak dziadek – miał duże, siwawe wąsy. I miał latarkę, w której zmieniały się kolory: zielony-czerwony-biały. Ja po tę latarkę sięgałem i pstrykałem, a on patrzył i się uśmiechał. Podobnie jak u tamtego Niemca, na twarzy malowała mu się życzliwość dla dziecka.

Miał Pan trzy lata, świetnie Pan pamięta.

Pamiętam obrazy, nie pamiętam słów... Gdy Rosjanie po kilku dniach gotowali się do odjazdu, to z požądaniem na tę latarkę patrzyłem. Ten stary żołnierz się do mnie uśmiechnął i włożył mi ją do ręki. Myślałem, że dał mi na moment, a on mnie po głowie pogłaskał i poszedł. Widzi pani, jakie są koleje losu? Dwóch wrogów i jedno dziecko, które powiązało ich ze sobą w wyobraźni. Sądzę, że te zdarzenia na mnie zaciążyły: nabrałem ufności w stosunku do ludzi, może nawet czasem zbyt dużej.

Co Pan jeszcze pamięta z tamtego czasu?

Jak mamę wzięli do obozu w Płaszowie. Wujek cudem ją wykupił za spirytus Baczewskiego i kielbasę; może nawet ocalił od śmierci. A ja siedziałem w oknie przez kilka dni. Dostałem takiej hysterii, że nie pozwoliłem się z parapetu zabrać. Czekalem.

Jeszcze opowiem o Alojzym Piekarczy, pseudonim Lep, dowódcy AK na okręg myślenicko-wadowicki. Też pochodził z Leńcz. Akurat w Wigilię była oblawa. Piekarz wyskoczył z domu przez okno bez koszuli, w samych kałesonach, i uciekł na pobliski cmentarz. Schował się w grobowcu i przesiedział w nim – półnagi – od ósmej wieczór w Wigilię do trzeciej po południu w Boże Narodzenie. Czy to jest ważny człowiek? Dla mnie jest wzorem bohatera, mocnego człowieka.

Wie Pan, co się z nim stało?

Ukrywał się w miejscowości Hucisko w Żywieckiem, po wojnie, za AK, miał dwa wyroki śmierci. Przyjaźnił się z wujkiem, który mieszkał we Wrocławiu, i który po śmierci ojca przez jakiś czas mnie wychowywał. Gdy Piekarz przyjeżdżał do wujka do Wrocławia, to odbywał się bankiet, ja robiłem za kelnera. Było zawsze dobre jedzenie – szynki, wódki, smakołyki wykwiśnię – ciotka, żona wujka, świetnie gotowała. Kiedyś niosłem z kuchni ciężką tacę – na progu pokoju jadalnego potknąłem się i wywaliłem wszystko na podłogę. Od tego czasu zostałem zwolniony z obsługi.

Cybulski wiedział,
że chcę zdawać
do szkoły teatralnej,
co odradzał mi szczerze.
On swój zawód traktował
niepoważnie; pewnie
dlatego był taki genialny.

Wujek musiał być ważny dla Pana.

Dzięki niemu spotkałem Marlenę Dietrich – niesamowite dla mnie przeżycie. W marcu 1966 r. we Wrocławiu miała koncert... Ale powinienem zacząć od Cybulskiego, bo to jego najpierw poznałem. Byłem w liceum plastycznym w Krakowie, przyjeżdżałem do Wrocławia do wujka i on mnie zabierał czasem do Monopoli, restauracji, w której kelnerował, i w której bywał Cybulski. Wujek wiedział, że w szkole recytuję wierszyki, więc uznał, że będzie dla mnie dobrze, gdy poznam wybitnego aktora.

Jaki był Cybulski?

Cudowny łobuz. Gdy dostawał ratę z filmu, to przyprowadzał meneli do Monopoli i stawiał im bankiet trwający dwa-trzy dni, po czym zostawał bez grosza. I jak zostawał bez grosza, to kelnerzy, którzy go uwielbiali, stawiali mu przede wszystkim alkohol, bo jedzenie miał na filmowym planie. A Dietrich w Monopolu na cześć Zbyszka Cybulskiego wydała bankiet – uwielbiała go.

W swoich „Dziennikach” Dietrich pisała, że nigdy przed nim nie było aktora, który potrafiłby grać bez użycia oczu.

Trafiłem na ten bankiet... Co się w ten dzień działo! Kelnerzy pilnowali, by Zbyszek nie upił się do wieczora – miał akurat wolne od zdjęć. Skombinowali mu marynarkę, białą koszulę, krawat, przed którym się bronił. Został w dzinsach i pionierkach, a już na wieczór, na spotkanie z Marleną, zmienił jasne okulary na ciemne. Zdążył troszeczkę się podlać, uroczy był wtedy – rozmowny, dowcipny.

Bankiet wystawny – na stołach najrozmaitsze wina i bażanty. Usiadłem w kąci, by popatrzeć z daleka na Dietrich. A ten łobuz Cybulski mówi: „Chodź, poznam cię z Marleną”. Wiedział, że chcę zdawać do szkoły teatralnej, co odradzał mi szczerze. On miał obsesję tego, by być żołnierzem lub lotnikiem. Swoją zawód

traktował niepoważnie; pewnie dlatego był taki genialny.

Zaciągnął mnie więc do tego stołu z Dietrich. I konsternacja: Marlena chce za Zbyszka wzniesić toast winem. A Cybulski rozgląda się za wódką. Jeden z kelnerów, stary lwowiak, stał za nim z tacą z butelką mrożonej wódki, kieliszkiem – tzw. literatką – i małą stopką kryształową. I co się stało? Kelner Zbyszkowi wódkę nalał do tej literatki. A Marlena nalała sobie wódkę do kryształowej stopeczki, wznosząc toast za Cybulskiego.

Zamienił Pan z Dietrich słowo?

Jakieś kurtuazyjne zdania. Ona głównie była zajęta Zbyszkim, rozmawiali po francusku. Cybulski klepnął mnie po plecach i przedstawił jako przyjaciela. Wyglądała cudownie: w wieczorowej sukni – popielatej, z cekinami, z głębokim dekoltem. Miała swoje lata, lecz jej twarz pozostawała piękna – szlachetna.

Gdy jako 17-latek poznajesz Zbyszka Cybulskiego i spotykasz Marlenę Dietrich, to jest to ważne przeżycie. Po tym wszystkim losem Dietrich zacząłem interesować się jeszcze bardziej. Imponowała mi jej postawa antynazistowska – odrzucała propozycje powrotu do Niemiec i grania w filmach dla Hitlera. Wywołała awanturę w Trzeciej Rzeszy, gdyż opowiedziała się przeciwko takiej ojczyźnie.

A naukę w liceum plastycznym ktoś ważny Panu doradził?

Bronisław Chromy, który właśnie teraz zmarł, też człowiek z Leńcz. Byłem jeszcze w podstawówce, gdy Chromy przyjeżdżał z Krakowa na dożynki, ale nie po to, by sobie potańczyć, tylko by zrobić przepiękne rzeźby z ziół i zbóż. Przyglądałem się temu z fascynacją. Kiedyś poprosił mnie, bym mu coś pottrzymał w czasie pracy nad dożynkowym wieńcem. Tak zaczęła się moja przygoda z rzeźbieniem. W Leńczach mieliśmy kawałek ziemi gliniastej; gdy była zmoknięta, zbierałem ją i lepiłem główki, postaci, zwierzęta.

Pokazał Pan swoje rzeźby Chromemu?

Pokazałem rysunki, gdy zdawałem do liceum plastycznego. I on mi dał namaszczenie. A w liceum dyrektorem był Józef Kłuz – malarz, człowiek, który też w moim życiu wiele znaczy. Raz, że był fajny gość. Nie wolno było mu palić, miał kłopoty z sercem, a chłop jak dąb. W piątej klasie szliśmy na wycieczkę do Morskiego Oka, z grupką chłopaków co jakiś czas odskakiwaliśmy zakurzyć. W kieszeni miałem paczkę grunwaldów, naprawdę dobre.

Kluza nas dogonił i pyta: „Chłopaki, nie ma któryś z was papierosa?”. I moje myśli: dać mu czy nie dać? Dałem – bo gdy poprosił, był jak dziecko. A potem zobaczyłem, z jaką rozkoszą się zaciągał.

Raz – fajny gość. A dwa?

Wykupił mnie z domu dziecka. Po śmierci ojca mama znalazła się w ciężkiej sytuacji finansowej, a na utrzymaniu miała jeszcze młodszego brata. I gdy poszedłem do liceum do Krakowa – miałem wtedy 14 lat – to dostałem od kolei zakwaterowanie w domu dziecka w Krzeszowicach. Stamtąd musiałem dojeżdżać do Krakowa. Kluza o tym wiedział i sprawę rozwiązał: załatwił, że pieniądze, które dawało na mnie PKP, będą pokrywać koszty pobytu w internacie w Krakowie.

A przez dwa tygodnie bytności w domu dziecka nie sypiałem w ogóle i, wstyd przyznać się, płakałem noc w noc; myślałem, że zostanę tu przez całą szkołę. Gdy wyszedłem stamtąd, odżyłem natychmiast. A Kluzę traktowałem niemal jak ojca, on się mną opiekował. Pytał, jak mi jest w Krakowie, czy czegoś potrzebuję, czasem jakąś zapomogę załatwił.

Byli inni ważni ludzie w liceum?

Witold Damasiewicz, wybitny malarz. Dlaczego tak go ceniłem? Nie ceni się nauczycieli za to, jak uczą, tylko za to, jacy są. Damasiewicz był ludzki – nie wytwarzał żadnego dystansu, z uczniami potrafił się przyjaźnić. Był dobrym człowiekiem. Cudowna była jeszcze nauczycielka od rosyjskiego. Jej zawdzięczam to, że słabo umiem ten język.

Była dla Pana za dobra?

Zadawała uczenie się na pamięć wierszy. Raz jeden nauczyłem się „*Zdi mienia*” Konstantina Simonowa. Przed każdym półroczem i końcem roku byłem pytany z tego wiersza i otrzymywałem ocenę bardzo dobrą. Języka polskiego uczyła mnie najpierw profesor Grzegorzczuk, a w późniejszych klasach profesor Romankówna, wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego, autorka wielu książek. A przez profesor Grzegorzczuk zostałem aktorem. Ona zmusiła mnie do tego, bym wykuł na pamięć „*Śmierć pułkownika*”.

Zmusiła?

Nie lubiłem i do dziś nie lubię uczenia się na pamięć, uważam to za najgłupszą rzecz pod słońcem. Gdy gram „*Rozmowy z diabłem*”. Wielkie kazanie księdza Bernarda” Leszka Kołakowskiego, to słyszę nieraz: „Jak pan zdołał się tyle tekstu na-



GRAŻYNA MAKARA

JERZY TRELA jest aktorem, urodził się w 1942 r. W trakcie naszej rozmowy podkreślał z całą mocą, jak ważni byli dla niego ludzie teatru. Zofia i Władysław Jarembowie, u których jako lalkarz pracował w założonym przez nich Teatrze Lalki i Maski „Groteska”. Konrad Swinarski, u którego zagrał m.in. w „*Dziadach*” i „*Wyzwoleniu*”. Andrzej Wajda („*Hamlet*”, „*Dybuk*”), Jerzy Grzegorzewski („*Sędziowie*”, „*Wesele*”, „*Morze i zwierciadło*”), Krystian Lupa („*Powrót Odysa*”, „*Lunatycy II*”). Kazimierz Kutz jako reżyser spektakli telewizyjnych – „*Do piachu*”, „*Kolacja na cztery ręce*”, „*Noc Walpurgii albo kroki komandora*”, „*Stalin*”, „*Kartoteka rozrzucona*”, a w teatrze – „*Damy i huzary*”. Jerzego Jarockiego („*Życie jest snem*”, „*Szewcy*”, „*Portret*”) Trela uznaje za jednego ze swoich najważniejszych nauczycieli.

W listopadzie zaczyna zdjęcia do filmu „*Ciemno, prawie noc*” Borysa Lankosza, a w styczniu 2018 r. w Teatrze Stu w „*Wiedźmach*” na podstawie Szekspira, reżyserowanych przez Krzysztofa Jasińskiego, zagra Prospera.

uczyć?”. Trzeba się i wbijać sobie w łeb zdanie po zdaniu. Próbuje zrozumieć tekst, wtedy idzie łatwiej.

A ważni ludzie, których spotkał Pan na starcie drogi zawodowej?

Koledzy z Teatru Stu, m.in. Olgierd Łukaszewicz, Wojtek Pszoniak, Janusz Szydłowski, Wiesio Wójcik, Miecio Franaszek. A Krzysztof Jasiński był naszym dyrektorem, nawet gdy jeszcze nie było teatru; Krzysztof ma umiejętność gromadzenia wokół siebie ciekawych ludzi. A Janek Łukowski był duchowym wodzem. Miał ogromny talent reżyserski, choć skończył wydział aktorski; aktorstwo traktował jako jeden z progów w drodze do reżyserii. Janek był człowiekiem obdarzonym ogromnym poczuciem humoru. Kilka miesięcy po jego przedwczesnej śmierci poznałem Konrada Swinarskiego, kolejną bardzo ważną dla mnie osobę. I dostrzegłem między nimi podobieństwo – w sposobie bycia i kontaktowania się z drugim człowiekiem.

W 1966 r. „Pamiętnik wariata” w reżyserii Jana Łukowskiego wygrywa międzynarodowy festiwal teatralny w Erlangen. Zagrał Pan Poprząszczyna.

To był moment utwierdzający mnie w tym, co robię, w przekonaniu, że ten zawód muszę potraktować poważnie. Zostałem zaakceptowany przez jury i publiczność międzynarodową. Zmniejszyła się moja niepewność, która, oczywiście, towarzyszy mi do dziś.

Niepewność?

Dlaczego pani jest tym zdumiona? Niepewność w aktorze będzie tkwić zawsze. Nawet jeśli niektórzy ją mocno kamuflują, pokazując jacy są potężni, to w ich środku tli się wrażliwość, jak już mówiłem. Dla potwierdzenia opowiem rzecz intymną, związaną z Krzysztofem Jasińskim. On sprawia wrażenie twardego faceta błyskawicznie podejmującego ryzykowne decyzje. I to jest prawda. Prawdą jest też to, że Krzysztof kryje całe polece delikatności. Po premierze „*Rozmów z diabłem*”, które on reżyserował, a ja grałem, w nocy dostaję od Krzyśka esemesa: „Kocham cię – ch...ju”. Pierwszą część jego treści podyktowała wrażliwa strona duszy Krzyśka, drugą – twardy facet, który nie znosi ckliwości.

„Rozmowy z diabłem” widział w Teatrze Stu sam ich autor – Leszek Kołakowski. Przyjechał na to przedstawienie z Oksfordu.

Jasiński Kołakowskiego honorowo posadził w środku pierwszego rzędu, jakby na złość mnie. I im dalej w las przedstawienia, tym bardziej Kołakowski wychylał się, niemal wchodził na scenę, oparty brodą o łaskę, i gapił się we mnie. A ja grałem tylko do niego, tak naprawdę graliśmy obydwaj. Niezwykłe doświadczenie poznania kogoś, z kim się długo obcować poprzez jego literaturę.

Ważną postacią w Pana życiu był jeszcze ks. Józef Tischner.

Bardzo ważną – do dziś zresztą gram w „*Wariacjach Tischnerowskich*”. Tischner mnie namaścił do „*Historii filozofii po góralsku*”. Najpierw on miał zagrać siebie, ale już zaczął chorować i w jednym z wywiadów na pytanie, kto mógłby go zastąpić, odpowiedział: „A niech robi to Trela, bo on godo jak jo”. Tischner poza swoim człowieczeństwem, intelektem i odwagą miał ogromne poczucie humoru. Na moim benefisie w Teatrze Stu, który reżyserował Jasiński, publicznie mi udzielił rozgrzeszenia i odpustu zupełnego. ©

Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA